

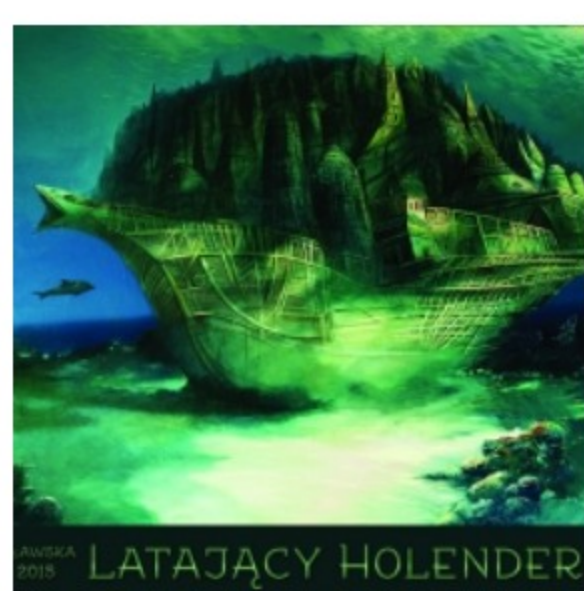
## Massentheater



MIROSLAW KOCUR

Reżyser teatralny, historyk i teoretyk teatru. Profesor na Uniwersytecie Wrocławskim i w

Lubię to! 15



**20 maja 1914 roku sam następca tronu cesarskiego, Wilhelm Hohenzollern, odwiedził Breslau, żeby uświetnić udostępnienie publiczności Hali Stulecia, arcydzieła architektury XX wieku, zaprojektowanego przez Maksa Berga. Tego dnia odbyła się również inauguracja Wystawy Stulecia z okazji setnej rocznicy odezwy króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III, wzywającej rodaków do walki z Napoleonem. Głównym wydarzeniem artystycznym uroczystości była inscenizacja dramatu Gerharta Hauptmanna *Festspiel in deutschen Reimen*.**

Maks Reinhardt, najwybitniejszy i najambitniejszy wówczas reżyser teatralny w Europie, znakomicie wykorzystał olbrzymią przestrzeń Hali do realizacji swojej wielkiej idei „teatru dla pięciu tysięcy”. Teatr masowy Reinhardta był „teatrem ogólnie dostępnym”, ale też sztuką najwyższych lotów artystycznych. „Teatr, o jakim marzę – powiedział w jednym z wywiadów – to teatr, który znowu da ludziom radość, który wydobędzie ich z ponurej codzienności i przeniesie w sferę czystego piękna”. Reinhardt zaliczany jest dziś w poczet ojców założycieli współczesnej sztuki inscenizacji.

Opera Wroclawska od lat kontynuuje tradycję „teatru dla mas”, realizując bardzo popularne megawidowiska na lądzie i wodzie. W tym roku Waldemar Zawodziński, utalentowany inscenizator i scenograf, zmierzył się z *Latającym Holendrem*, wczesną operą Ryszarda Wagnera, ale nie w samej Hali Stulecia, tylko obok, na Pergoli, budowli również wzniesionej w 1913 roku w ramach terenów wystawowych. Pergola otacza podwójną kolumnadą sztuczne jezioro.

*Latający Holender* dopiero zapowiada wielką syntezę sztuk, realizowaną przez Wagnera w późniejszych operach. Jest to dzieło znacznie skromniejsze w zamyśle od *Pierścienia Nibelunga* czy *Śpiewaków norymberskich*. Trwa niespełna dwie i pół godziny. Orkiestracja nie jest monumentalna. Potrzeba tylko sześciu solistów. Pewnie dlatego *Latający Holender* to dziś najczęściej wystawiana opera Wagnera. W ciągu ostatnich pięciu sezonów inscenizowano ją prawie dwieście razy. Także w Polsce. Trzy lata temu Mariusz Treliński i Boris Kudlička „zatopili *Holendra*” – jak się wyraził jeden z recenzentów – w hektolitrach wody, wylewanej w ciemnościach na scenę Opery Narodowej w Warszawie. W styczniu tego roku wystawiono operę w łódzkiej Teatrze Wielkim.

Jak to u Wagnera, nic nie jest w tej operze proste czy jednoznaczne. Mroczna konfrontacja ludzi nie całkiem żywych i nie całkiem martwych pośród szalejących żywiołów kulminuje finałem, w którym miłości nie można odróżnić od śmierci. Zgubna otchłań obiecuje nadzieję zbawienia.

Daland, chciwy kapitan statku, dość nieroztropnie za kosztowności ofiarowuje rękę swej córki Senty obcemu mężczyźnie, spotkanemu na morzu w dość tajemniczych okolicznościach. Do statku Dalanda cumuje posępny okręt z bardzo bladą załogą. Senta owładnięta jest obsesją „latającego Holendra”, a raczej „Holendra tułacza”, który błędzi po oceanach i sprowadza na żeglarzy nieszczęścia. Pod koniec okaże się oczywiście, że ów Obcy, kotoremu Daland powierza córkę, to właśnie przeklęty żeglarz, który nie zazna śmierci, dopóki nie zdobędzie miłości wiernej kobiety. Senta będzie chciała go zbawić. Ale Holender to żywy trup. Nie wiadomo nawet, czy w ogóle istnieje, czy nie jest ułudą chorego mózgu. Jakby nie było, ślub z trupem możliwy jest tylko poprzez śmierć. Kiedy w finale posępny statek z Holendrem odpływa w mgłę, Senta rzuci się ze skały w morze i ostatecznie uwolni ukochanego od życia. „Holender i Senta, oboje przemienieni, wylaniają się z morza, on ją obejmuje” – to ostatnie zdanie libretta.

Waldemar Zawodziński bardzo sprawnie wkomponował budowę sceniczne w architekturę Pergoli i multimedialną fontannę, otwartą hucznie sześć lat temu, w dwudziątą rocznicę pierwszych wolnych wyborów w Polsce. Swoiste wyzwolenie z niewoli jest wszak jednym z głównych tematów *Latającego Holendra*. Zawodziński wznosił na scenie dwa ogromne statki: żaglowiec Dalanda i na wół zatopiony wrak przeklętego Holendra, zachowujący wciąż oznaki dawnej, XVII-wiecznej świetności. Inscenizacja jest bowiem bardzo tradycyjna, ale też bardzo widowiskowa. Zawodziński to mistrz sztuki spektaklu. Przed reżyserią w krakowskiej szkole teatralnej ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Łodzi. Jego *Latający Holender* to seria potężnych, często zachwycających obrazów, znakomicie oświetlanych.

Polski inscenizator, jak kiedyś Reinhardt, świetnie operuje na scenie tłumami. Osobną wartością jego „teatru dla pięciu tysięcy” było przemieszczanie się ludzkich mas. Najpierw trzech tysięcy widzów, potem, w trakcie przedstawienia, ponad stu artystów. I znowu widzów, w przerwie. Największe wrażenie robiła załoga przeklętego statku Holendra. Żeglarze w krwawych płaszczach i z czaszkami zamiast głów powoli wkraczali na sceniczne rusztowanie, a potem długo stali w złowieszcym bezruchu, widoczni tylko dla żywych na widowni, ale nie dla żywych na scenie. Ściana trupów tworzyła niepokojące tło dla śpiewów Holendra, czyli rewelacyjnego w tej roli barytona Simona Neala. Choć sam Holender w niczym nie przypominał żywego trupa. Miał na sobie kostium kapitana. Jego twarz nie była blada. Zawodziński robił wprawdzie, co mógł, żeby dymami i światłem sygnalizować obecność mocy szatańskich podczas arii przeklętego żeglarza – kiedy akurat na scenie nie było załogi żywych trupów – ale zabieg urealnienia postaci Holendra wydał mi się wielce problematyczny. Oswajał nieznanne i unicestwiał metafizykę.

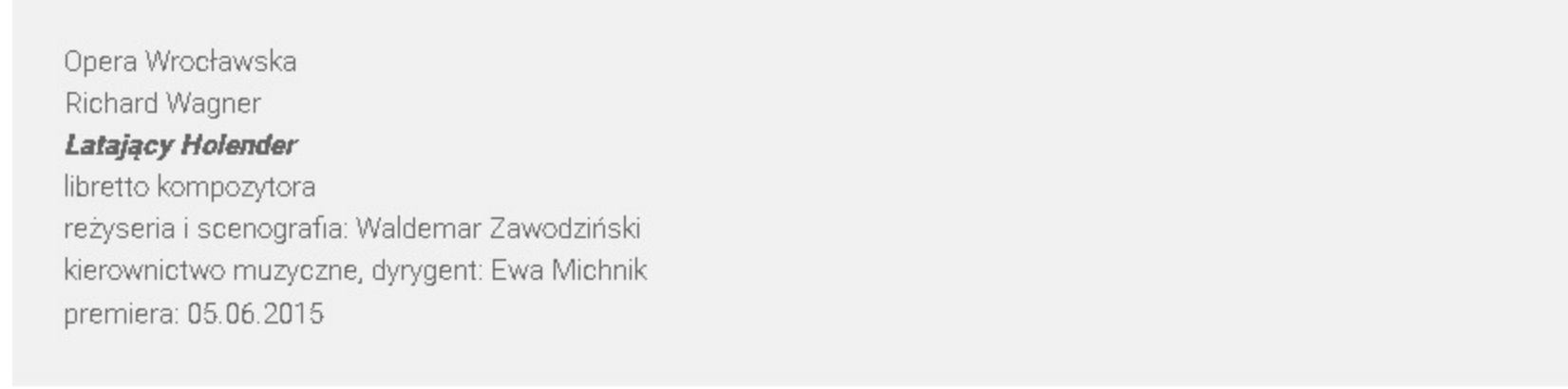
Brak pogłębionego odczytania libretta to moim zdaniem główny problem tego spektakularnego widowiska. Piękne obrazy zbyt często wyrażały banalne sensy. Zło przeklętego statku nie zostało dobitnie wyartykułowane. Bardzo umowne działania żeglarzy Dalanda podczas pierwszego aktu co najwyżej ilustrowały tekst. Fiasta wieśniaków w akcie drugim była trywialna i tylko z tekstu wynikało, że niepojawienie się załogi Holendra stanowiło dla tancerzy jakiś problem. Zupełną porażką był finał opery. Tłum żeglarzy i wieśniaków otoczył i zasłonił Sentę. Z widowni nie było więc widać jej samobójstwa. Kto nie słuchał uważnie śpiewaków lub nie śledził polskiego tekstu na telebimie, pojęcia nie miał, że Senta właśnie skoczyła z wysokiego klifu do morza. Na koniec w tle wystrzelił co prawda w górę strumień fontanny, ale ten sam strumień w podobny sposób strzelał już wcześniej. Nie było jasne, dlaczego właśnie teraz opera się skończyła.

Muzycznie przedstawienie zostało bardzo solidnie przygotowane. Do wysokiego poziomu orkiestry dyrektor Ewa Michnik zdążyła nas zresztą przyzwycząić. Znajomy waltornista narzekał wprawdzie na nieco płaskie brzmienie instrumentów dętych, ale mnie się podobało, szczególnie kiedy waltornie nasładowały syreny statków. Rewelacyjnie brzmiały chóry szkielet, przygotowane przez Annę Grabowską-Borys. Kreation stworzył, jak już wspomniałem, Simon Neal w roli Holendra. I jako aktor, i jako baryton. Grzegorz Szostak jako Daland był równie przekonujący. Podobnie tenorzy: Łukasz Gaj jako Eryk, beznadziejnie zakochany w Sencie, oraz Aleksander Zuchowicz jako Sternik.

Zagadką obsadową pozostaje natomiast dla mnie Anna Lichorowicz w roli Senty. Może i ma mocny głos o ładnej barwie, ale ten głos zbyt często drżał. Robiła też dziwaczne miny, miotając się po scenie i wybałuszając oczy. To wszystko mogliśmy w detalach podziwiać na ogromnych telebimach. Tak zapewne reżyser i aktorka wyobrażali sobie szaleństwo. Było to nieznośne i pretensjonalne. Młodych, utalentowanych śpiewaczek jest dziś wiele. Dlaczego mamy sobie wyobrażać, że puszysta diwa w kwiecie wieku to powabne dziewczę?

W sumie: wielkie widowisko, świetna muzyka, dużo ludzi na scenie i na widowni. Maks Reinhardt z pewnością doceniłby wysoki poziom rozrywki serwowanej przez Operę Wroclawską na Pergoli. Dzięki podobnym megaprodukcjom tysiące ludzi może obcować ze sztuką wysoką. Widownia była pełna. Drogie bilety na kolejne przedstawienia podobno rozchodzą się na pniu. Gdybyż tylko jeszcze organizatorzy zadbali o uruchomienie specjalnych linii tramwajowych dla mas melomanów opuszczających Pergolę po pierwszej w nocy...

12-06-2015

TAGI: [Waldemar Zawodziński](#), [Ewa Michnik](#), [Richard Wagner](#), [Latający Holender](#), [Wrocław](#), [Opera Wroclawska](#),

Udostępnił

Lubię to! 15

## SKOMENTUJ

Autor  lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

trzy plus dziesięć jako liczbę: 

KOMENTARZE ( 0 )

## POWIĄZANE TEATRY

Opera Wroclawska



## PRZECZYTAJ TEŻ

 Henryk Mazurkiewicz  
Demokracja ludowa


 Henryk Mazurkiewicz  
Po orgii


 Henryk Mazurkiewicz  
Ponoć


 Łukasz Drewniak  
K/109: Sprawy beznadziejne


 Henryk Mazurkiewicz  
Ty, Iwanow, lepiej już śpij


 Magda Piekarska  
Modrzejewska pod napięciem

## KALENDARIUM

 16 XI 2022  
Międzynarodowy Festiwal Sztuki Opowiadania XVII edycja - Pieśniarze i ich opowieści


 21 XI 2022  
XLVIII Tyskie Spotkania Teatralne


 03 XII 2022  
Cykl "Bóg i proch" - część szósta

## BĄDŹ NA BIEŻĄCO

